

TEATR DLA MŁODZIEŻY MIĘSKIEJ

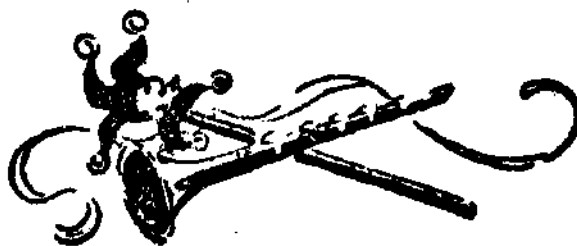
Nr. 48



ZOFJA TOPIŃSKA

SKOŃCZYŁEM MEDYCYNĘ

FARSA W 1 AKCIE



P O Z N A Ń 1 9 8 5

TEATR DLA MŁODZIEŻY MĘSKIEJ

Nr. 48

ZOFJA TOPIŃSKA

SKOŃCZYŁEM MEDYCYNĘ

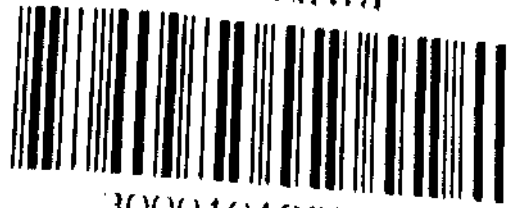
FARSA W 1 AKCIE



POZNAŃ 1935

NAKŁADEM SPÓŁKI AKCYJNEJ „OSTOJA”

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018684917

WYDAWNICTWO KATOLICKIEGO
ZWIĄZKU MŁODZIEŻY MĘSKIEJ

PRINTED IN POLAND

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



— 881.922 —



TREŚĆ

Akcja rozgrywa się w środowisku studenckiem. Młody doktor, Stanisław, co dopiero po ukończeniu studiów, otworzył gabinet przyjęć i oczekuje na pacjentów. Ale tygodnie mijają, a rzadko kto przybywa po poradę. Sytuacja jest ciężka.

Nie lepiej powodzi się jego kolegom. Wielu z nich musi zwinąć mieszkanie, nie mając na jego opłacenie. Kolejno przenoszą się z resztkami mebli do Stanisława, który jeszcze ma dach nad głową.

Ale młodość nie wie co to frasunek. Żartem i śmiechem postanawiają koledzy zwyciężyć chwilowy kryzys. Rozdają więc między siebie role, jeden zostaje doktorem, drugi lokajem, reszta udaje pacjentów. Taki, wprowadzie czysto pozorny, ruch w interesie musi zwrócić uwagę publiczności i przyciągnąć liczniejszą, tym razem już prawdziwą klientelę.

Pomysł okazuje się szczęśliwy i po pierwszej próbie jest nadzieja, że młody doktor będzie miał powodzenie, a szcassem dorobią się i jego koledzy.

OSOBY

Stanisław —	}	młodzi lekarze
Wacław —		
Antoni —		
Feliks —	}	młodzi prawnicy
Leon —		
Dozorca domu		
Masny — woźny	}	pacjenci
Kupisz — sklepikarz		
Goldberg — kupiec		
Służący artystki		

Skromna poczekalnia w mieszkaniu młodego doktora: stoliki, kilka krzesel, pisma. Doktor Stanisław siedzi na krześle, to znów wstaje, chodzi po pokoju, nadśluchując.

SCENA I.

Stanisław sam

S t a n i s ł a w: Miła perspektywa! Warto było kończyć medycynę! (*Dzwonek telefonu.*) Hallo! Tak, to ja, dzień dobry ci, Antek... Nie mogę teraz, jestem bardzo zajęty... Ależ nie mogę, doprawdy, mam pełną poczekalnię pacjentów, nie wiem czy na dziesiątą godzinę skończę konsultację... No tak. Jeszcze kilkunastu... Nie mogę, doprawdy, nie mogę, czuję się zdenerwowany... Pracą — no i bardzo zmęczony się czuję... (*Na stronie:*) Jedyna prawda, żem zdenerwowany. Jutro, owszem, ale też nie w porze przyjąć... Dowidzenia. (*Kładzie słuchawkę.*) Nie mogę przecież poprostu dla samej przyzwoitości wychodzić z domu, choć może wtedy bym miał powodzenie! Skończyłem medycynę i przez pół roku praktyki miałem zaledwie kilku pacjentów. (*Dzwonek u drzwi wejściowych.*) Człowiek musi być własnym lokajem! (*Idzie i otwiera drzwi. Wchodzi dozorca domu.*)

SCENA II.

Stanisław i Dozorca

Dozorca: Pan doktor jest?

Stanisław: Jestem, proszę.

Dozorca: Pan doktor niby sam?

Stanisław: We własnej osobie.

Dozorca: Nie zawracać głowy, ino pana doktora prosić.

Stanisław (zmieszany): Ja jestem doktorem, do-
prawdy. Służący mi zachorował, sam drzwi ot-
wieram.

Dozorca: To lokaj u pana doktora źle trafił, bo
jak jest lokajem u samego doktora, to o żadnej
chorobie nie powinien wiedzieć. Zdrowie tu po-
winno z każdego kąta tryskać.

Stanisław: Co sobie pan życzy? Czem panu
mogę służyć?

Dozorca: A no, chciałem się pana doktora pora-
dzić wedle wzroku. Wczoraj dosyć późnawo do
domu wracając nie mogłem domu tu sprzeciwka
znaleźć. Tak mi się jakoś w ślepiach dwoiło. Ja
tu naprzeciwko zaraz mieszkający dozorca. Tu, pod
numerem piątym zaraz... tu, zaraz w tej kamienicy.
I chodzę, a chodzę i szukam, a szukam, a tu na la-
tarce pięćdziesiąt i pięć. Więc zawracam i znowu
szukam i znowu chodzę i zataczam się, a co niby
do domu już podchodzę, tuż do samej bramy, pa-
trzę znów pięćdziesiąt pięć i furt pięćdziesiąt pięć.
Nareszcie-ci patrzę a tu przed bramą dozorczyńni
stoi. Fest sobie taka... Patrzę, a to moja Małgo-
sia, moja baba, muszę wytłomaczyć, jako że pan
doktor jej nie zna. — Co — powiadam — za zmie-
nianie numerów? Co mi za figle, żeby po nocy
wracający numeru własnego nie rozpoznał? Co za
gospodarowanie w mojej — powiadam — kamie-

nicy? A ona powiada: — W oczach ci się dwoi, bracie, w oczach! Masz, masz! — I szturchnęła mnie trochę, ale pan doktor nie dentysta, więc z tem do innego się już połatyguję. Jak moja Małgosia mi rzekła, że mi się w oczach dwoi, tak, powiadam: — Do okulisty trza iść. — Do okulisty mu się zachciewa! Nie, widzieli go! A nie masz to naprzeciwko doktora od wszystkiego? Co się po innych doktorach włóczyć, żeby ino pieniędzy z kieszeni wyrzucić. Masz tego sprzeciwnika — powiada — nigdy tam nijakiego pacjenta nie widać, to nic nie zedrze — powiada — a może — powiada — i darmo poradzi. Ino niech ci się znowu numery nie podwoją, żebyś mi trafił, to on ci już powie, czy ci się dwoją, czy nie.

Stanisław: Proszę, bardzo proszę usiąść, zaraz zobaczę.

Dozorca: Niech mi pan doktor jeno na dnie oka jakiej krzywdy nie robi.

Stanisław: Nie zrobię panu żadnej krzywdy.

Dozorca: A co to będzie kosztować? Bo moja Małgosia...

Stanisław: Niewielkie rzeczy, zobaczymy zaraz.

Dozorca: Dużych rzeczy nie zapłacę, powiadam odrazu.

Stanisław (*bada mu oczy*): Oczy ma pan zdrowe, bardzo zdrowe, takie oczy, jak pan ma, spotyka się jeszcze w dziewiczych lasach amerykańskich, pomiędzy indjanami czerwonoskórymi...

Dozorca: To z nich każdy do kamienicy trafi?

Stanisław: A trafi, rozumie się. A co do dwojenia się w oczach u pana mogę stanowczą postawić djagnozę.

Dozorca: Co to takiego?

Stanisław: To znaczy określenie choroby. A więc mogę stanowczo określić, że było to wskutek pew-

nego rodzaju, że tak powiem, zamroczenia alkoholowego, z powodu nadmiernego nadużycia zbyt-
niej, że tak powiem, ilości jakiegokolwiek preparatu alkoholowego.

D o z o r c a: A czy to duża choroba?

S t a n i s ł a w: Nie należy używać wszelkich tego rodzaju preparatów...

D o z o r c a: Niby jakich?

S t a n i s ł a w: Jest pan, że tak powiem, cokolwiek słabej odporności, więc radzę nie nadużywać.

D o z o r c a: Kiedy pan doktor tak mądrze mówi, że nic z tego, z przeproszeniem, pana doktora zrozumieć nie mogę.

S t a n i s ł a w: Bo ja, widzi pan, nie chciałbym panu zrobić przykrości... ale pan powinien się nieco wystrzegać...

D o z o r c a (zaczepnie): Niby czego?

S t a n i s ł a w: Wogóle wszelkich, że tak powiem, preparatów alkoholowych.

D o z o r c a: Moja Małgosia, dozorczyńni sprzeciwna, z pod piątego, nie pięćdziesiątego piątego numeru, powiada wczoraj tak: — Jak ci się dwoi, to idź do tego doktora młodego sprzeciwna, on tam nigdy pacjenta nie ma, to i czekać nie będziesz i dobrze ci w ślipie zajrzy — powiada — i powie darmo, czy ci się dwoiło, czy nie. A potem to ja go się jeszcze pójde zapytać, żeby ci jeszcze raz między oczy powiedzieć, że się poprostu upiłeś, bracie.

S t a n i s ł a w: No tak, widzi pan, no tak, toż ja od początku mówię, że pan był... no, że pan poprostu wypił za dużo.

D o z o r c a: Więc z tem miałem do pana doktora przychodzić? Abo mnie to nowina? Pierwszyna jaka? I za to może jeszcze płacić? To samo moja baba darmo mi powiedziała, a pan ode mnie żąda

jeszcze może zapłaty, ze trzy złote może, żeby sobie te puchy tu odbić? Co?

Stanisław: Nie, nie, może mi pan nie płacić, tak po sąsiedzku, sprzeciwka. Ale drugi raz jak się będzie panu dwoić, to niech pan będzie spokojny.

Dozorca: Jabym, widzi pan, był spokojny, jeno moja baba jest wtedy całkiem niespokojna. Ale kłaniam się, panu doktorowi, że mnie uspokoił i poprawdnie wielkich pieniędzy nie wziął. Kłaniam się wielmożnemu panu!... (*Wychodzi*)

Stanisław (*do siebie*): Ano! skończyłem medycynę. (*Dzwonek u drzwi wejściowych.*) Może teraz jaki uczciwy pacjent... A, Antek, jak się masz!

SCENA III.

Stanisław i Antoni

Antoni: Jak się masz? Co? Już widzę wolny w tej chwili jesteś? A, to doskonale. Wstąpiłem do ciebie na chwilę, ot, tak, przechodząc tutaj. Mój drogi, pożycz mi pięćdziesiąt złotych, a nie będę ci przeszkadzał.

Stanisław: Ja, skąd? Zlituj się! Nie mam nawet złotówki w kieszeni.

Antoni: Jakżeż? Miałeś przecież kilkunastu pacjentów i grosza nie masz? Na kredyt leczysz, czy co u licha? No, dawaj! Bądź koleżeński!

Stanisław: Ależ, Antku, jak możesz przypuszczać? Czyżbym nie dał? Doprawdy nie mam.

Antoni: A twoi pacjenci?

Stanisław: Siadaj, opowiem ci wszystko, wszystko. Wierz mi, że to cały dramat.

Antoni: Opowiedz szybko, bardzo jestem ciekawy dramatu.

Stanisław: Mój drogi, jak ci wiadomo, skończyłem medycynę.

Antoni: I ja także.

Stanisław: Od pół roku utrzymuję gabinet przyjęć.

Antoni: I ja też.

Stanisław: Przez tych parę miesięcy miałem za-
ledwie kilku pacjentów. Dzisiaj był jeden pijak,
a przedtem kilku biedaków, od których serca nie
miałem cokolwiek wziąć.

Antoni: I ja też. Opowiadasz mniejwięcej moje
losy. (*Wzdycha*) Co dalej, Stachu?!

Stanisław: Na początku zgodziłem lokaja, ale ten
po tygodniu drapnął. Obecnie sam otwieram drzwi,
ale, rozumiesz, że to fatalnie wpływa na psychikę
pacjentów, działa na nich wprost demoralizująco.

Antoni: Rozumiem, gdyż i ja w ten sposób od-
dawna ich demoralizuję. Więc co dalej? A skąd
dzisiaj tylu pacjentów nabrałeś?

Stanisław: Zbłagowałem przed tobą.

Antoni: Tak samo i ja przed tobą błagowałem.

Stanisław: Coś podobnego!

Antoni: Sensu niema w tych warunkach być dok-
torem? Od czego ty jesteś doktorem?

Stanisław: Od wszystkiego.

Antoni: Ja też od wszystkiego.

Stanisław: Rozpacz poprostu!

Antoni (*zrywa się nagle*): Mam myśl! Słuchaj,
Stachu! Ja zwijam mieszkanie, to jest właściwie,
mnie zwijają, bo mnie gospodarz wylewa. Spro-
wadzę się do ciebie, to jest, kilku kolegów przy-
taszczy tu łóżko żelazne, materac i stół z krzesłami
trzciniowymi, bo też miałem gabinet. Ile tu masz
pokoi?

Stanisław (*zbolełym głosem*): Dwa. Tu pocze-
kalnia, a tam gabinet i sypialny.

Antoni: Zaraz to zorganizuję! Masz zapłacone
mieszkanie?

Stanisław: Za ten miesiąc do końca, bo brat przysłał ze wsi, ale napisał, że więcej przysyłać nie będzie.

Antoni: Doskonale, mamy cały miesiąc czasu! Łóżka na dzień powynosimy na strych. Tu będzie poczekalnia, tam gabinet. Będziemy praktykować razem.

Stanisław: Jakto razem?

Antoni: Ja będę lokajem, a ty doktorem.

Stanisław: Nie, w swoim domu muszę ci oddać pierwszeństwo. Ty bądź doktorem, a ja będę drzwi otwierał.

Antoni: Dla świętej zgody ciągnijmy węzełki! (*Ciągną, Antek wyciąga los.*) Ja będę lokajem.

Stanisław (z rozpaczą): Ale pacjentów, pacjentów skąd wziąć?!

Antoni: Bez tragedii, Stachu! (*Dzwonek telefonu.*) Jestem lokaj, więc podchodzę.

Stanisław: W głowie mi się odrazu przewróci!

Antoni: Hallo!...

Stanisław: Dawaj telefon! Hallo!... Owszem jest. Właśnie do ciebie...

Antoni: Któż tam do licha?! (*Bierze słuchawkę.*) Proszę uprzejmie, jestem przy telefonie... Ach to ty, Felek? Ale, co znowu, bolesny zawód, niema pieniędzy... Ale on ma wspaniały apartament, wprowadzam się do niego i gwizdzę na moją całą gospodynię. Dziś, zaraz, zmieniam lokal... No wiesz, dobrze, ja go się spytam zaraz, nie wątpię ani na chwilę... Stachu, wiesz, Felek nie ma lokalu. Po prostu wylewają go z mieszkania. Pyta się, czy go tu przyjmiesz?

Stanisław: Oczywiście, jak się może nawet pytać.

Antoni (*do aparatu*): Jest zdziwiony, że się pytasz. No, więc kiedy?... Zaraz?... No, to prędzej, cze-

kamy. (*Odkłada słuchawkę.*) On też doktor bez posady i praktyki.

Stanisław: Ach ten kryzys, ten kryzys!

Antoni: Poczekaj! Felek ma biurko, jedno krzeselko i tapczan. Może sobie na nim sypiać w nocy, jak hrabia. W dzień będzie tu poczekalnia, a tapczan jako kanapa. Mieszkanie sprzątamy wszyscy, chociaż wyciągnąłem węzelek. Doktora tylko przy pacjentach będziesz odgrywać.

Stanisław: Sprzątać będziemy wszyscy. (*Dzwonek u drzwi wejściowych. Wchodzi Feliks.*)

SCENA IV.

Ci sami i Feliks

Stanisław: Jak się masz, Felek!

Feliks: Witam cię, gościnny gospodarzu! Jak się macie, drogie chłopcy? Podobno ci goście nie płacą a gabinet masz pełen? Wiecie, zaraz przyjdzie Leon, ten co prawo skończył, też mieszkania nie ma. Na ulicy go nie zostawisz, prawda? (*Dzwonek telefonu.*)

Stanisław: Ach, to ty, Wacławie?... Dobry wieczór... Tak, tu nas wszystkich znajdziesz... Co? i ciebie wylali?... Pierwszy dzisiaj... Ale przyjdź, przyjdź, zmieścisz się tutaj, damy sobie radę!... Serdelków przyniesiesz?... Doskonale... Oczekiwany będziesz z niecierpliwością... (*Dzwonek u drzwi wejściowych. Leon wchodzi.*)

SCENA V.

Ci sami i Leon

Leon: Nie wylejesz mnie, Stachu?

Stanisław: Też pytanie! Trzeba zrobić miejsce dla Wacława.

Antoni: Wszystko się znakomicie zorganizuje!
Niech się tylko z dobytkiem tu pownoszą. Gdzie
macie rzeczy?

Leon: Na dole zostawiłem, chciałem tu wejść dystyn-
gowanie.

Antoni: A twoje rzeczy, Feliks?

Feliks: Biurko dozorca taszczy, no, i tapczan też
zaraz będzie. (*Dzwonek u drzwi wejściowych. Wcho-
dzi zmartwiony Wacław*).

SCENA VI.

Ci sami i Wacław

Antoni: Na wątrobę choryś? Wyleczymy cię.
Pyszny wieczór. Mamy herbatę, bułki, serdelki!
Lepiej, że wszyscy razem jesteśmy, niż każdy z osob-
na miałby u siebie siedzieć, jak hypochondryk.

Wszyscy (*śpiewają*):

Choć burza huczy wkoło nas
Do góry wnieśmy skroń!
Nie straszny dla nas burzy czas,
Bo silną przecie mamy dłoń,
Weselmy, bracia, się,
Choć wichur zagle rwie!

Antoni: Poezja — poezją, śpiewy — śpiewami,
ale ostatecznie przygotowujemy gabinet lekarski.
Trzeba patrzeć z czego chleb! Piąta godzina. Stach
godziny przyjęć ogłosił, zjawi się pacjent i zastanie
tu taki harmider? Zjawi się jaka wytworna pa-
cjentka i Stacha skompromitujemy. (*Wynoszą łóżko,
niepotrzebne rzeczy, urządzają poczekalnię, zamiata-
ją, wycierają kurze, Antoni komenderuje.*)

Wacław: Pism dla pacjentów niema?

Leon: Mam w walizce kalendarz zeszłoroczny i „Świat” sprzed kilku miesięcy.

Antoni: No pewnie! Wydatków nie można robić!

Wacław: Trzeba mieć porządne pisma dla pacjentów, zlitujcie się!

Antoni: Czy ty masz żabę w głowie? Myślisz, że tu prócz ciebie, Felka i Leona będzie kto siedział? Jak przyjdzie jaki prawdziwy pacjent to go Stach do gabinetu weźmie, a ty o pismach mówisz!

Leon: Nic z tego nie rozumiem.

Antoni: Widzę, że prawniczemu wydziałowi wyrażnie tłumaczyć trzeba. Otóż, powiem wam rzeczywistą rzeczywistość. Stach ma tak samo pacjentów, jak ja, i Felek i tak samo, jak ty klientów. Myśmy go wszyscy mieli za magnata, prawda? A on tyle od nas lepiej stoi, że ma mieszkanie za ten miesiąc zapłacone.

Feliks: Dziś pierwszy, jeszcze uciulamy w pięciu do końca miesiąca.

Wacław (z rozpaczą): Ale jak? Jak?

Antoni: Tylko bez dramatu i bez tragedji, mówiłem.

Wacław: Robisz farsę z tragedji.

Stanisław: Ależ to jedyny sposób!

Antoni: Stach jest doktor, ja jego lokaj, a wy pacjenci, czekacie w poczekalni i udajecie gości. Wyobraźcie sobie, jak to przygnębiająco działa na pacjenta wchodzącego do pustej poczekalni. Taki z zasady targuje się z doktorem. Drugi raz nie powróci i nikogo nie namówi.

Stanisław (z goryczą): Jeszcze dobrze jak sam nie wyjdzie, obejrzawszy się wokoło.

Antoni: Na to jest sposób drzwi na klucz zamykać! Żaden nie wyjdzie! (Dzwonek u drzwi wejściowych.) Ja lokaj, ja otwieram.

SCENA VII.

Ci sami i Służący

Służący: Moja pani, artystka kinowa, kazała się spytać, czy pan doktor ma pacjentów, czy nie?

Antoni: A o co jej chodzi? To jest... pani hrabianie? Powiedz, że jak przyjdzie, to pan doktor przyjmie ją przed wszystkimi gośćmi.

Służący: A to jej powiem. (*Wychodzi.*)

SCENA VIII.

Ci sami bez Służącego

Stanisław: Ona tu niedaleko mieszka, może zaraz nadejść.

Antoni: Jak zadzwoni, ty Stachu, wal do gabinetu.

Wacław: Moi kochani, co tam żałować lekarzy, że nie mają pacjentów. Toć przynajmniej krewni po śmierci takiego skazańca nie wytoczą mu pretensyj!

Leon: Jak się kto boi, niech zostanie weterynarzem!

Wacław: Czemu?

Leon: Przynajmniej nigdy krewni pacjenta nie będą mu robić wymówek.

Antoni (*nadśłuchuje*): Cicho! Ktoś idzie po schodach! Stachu! Nie będziesz tu sterczeć! Ja z największą powagą i wytwornością, na jaką mnie tylko stać, otwieram drzwi, zaglądam do twego gabinetu i pytam się, czy już przyjmujesz. Wy siedzicie, jak murowani...

Leon: Nie, my będziemy protestować, że my dłużej czekamy.

Wacław: Można przy tej okazji nadmienić, że wobec dam rycerskość zawsze obowiązuje. Dama więc wchodzi, a my zostajemy bez protestu, oczywiście.

Leon: A ładna aby?

Stanisław: Nie wszystko ci jedno? Czyż nie pojmujesz naszej wyższej, że tak powiem kultury, która obłożnie chorego zmusza do ustąpienia miejsca kobiecie? (*Lzwonek. Stanisław wybiega, wchodzi Masny.*)

SCENA IX.

Ci sami — bez Stanisława — i Masny

Masny: Czy Pan doktor przyjmuje?

Antoni: Owszem, przyjmuje. Jest już bardzo zmęczony i kilku pacjentów jeszcze czeka, ale proszę bardzo, pan szanowny zechce usiąść. (*Masny siada. Antoni puka do gabinetu doktora i zagląda.*) Pan doktor bardzo zajęty? (*Po dłuższej chwili.*) Pacjentka wyszła bocznymi drzwiami. (*Do Wacława:*) Pan dobrodziej pozwoli... (*Wacław wchodzi do gabinetu. Telefon dzwoni.*)

SCENA X.

Ci sami bez Wacława

Antoni: Hallo! Nie przyjdzie szanowna pani? Dlaczego? Oczekiwaliśmy tutaj z wielką niecierpliwością, doprawdy... Więc jutro pani przyjdzie?... Bardzo prosimy. (*Do kolegów:*) Dama nie przyjdzie! (*Leon, i Feliks robią rozpaczliwe ruchy.*)

Masny (*zrywa się*): Przepraszam, czy to nie omyłka? Czy ja jestem w gabinecie doktora?

Antoni (*zmieszany*): Ja miewam, panie dobrodzieju, takie, jakby tu powiedzieć, zamroczenia... i przez pomyłkę do tych panów zagadałem. Przepraszam, najmocniej panów przepraszam. Obsługuję pana doktora, a pan doktor już mnie zadarmo le-

czy. Pomimo olbrzymiej wprost praktyki zawsze czas i dla mnie znajdzie.

Masny: A od kiedy to pan doktor ma taką praktykę? Bo mnie mówił dozorca domu sprzeciwka, że nikogo niema, że darmo leczy. Kiedy tak, to przyjdę kiedyindziej. Zadługo mi czekać. (*Wstaje.*)

Antoni: Ależ co znowu, panie dobrodzieju. Jeżeli zadługo czekać, to może panowie pozwolą, że się pan dobrodziej pierwszy dostanie do badania?

Leon i Feliks (*zrywają się równocześnie i mówią naprzemian*): Oczywiście, panie szanowny, my poczekamy, pan tak źle wygląda... Widać po panu, że pan jest niebezpiecznie chory, mogłoby się panu pogorszyć, a to jest bardzo niedobrze odchodzić z poczekalni doktora. Zdarza się, że pacjent na schodach umiera, gdy się do gabinetu nie dostanie. My młodsi to rozumiemy... Prosimy bardzo...

Masny (*siada*): O! ja się w życiu nachorowałem już nieraz. Jako mały chłopak miałem angielską chorobę, później chorowałem na cholere azjatycką, przed kilku laty przeszedłem egipskie zapalenie oczu...

Leon: O! to pan kawał świata zwiedził.

Masny: Nie, nie jeździłem wcale. Tu w Warszawie mnie tak brało.

Feliks: Zadziwiające, doprawdy!

Masny: Panowie razem tu chodzą?

Leon: Nie, każdy z osobna. Tu w poczekalni u doktora poznaliśmy się, bo już od dłuższego czasu przychodzimy. Doskonale nam to robi na zdrowie.

Masny (*półgłosem*): A drogi? Ile tak weźmie?

Antoni (*pośpiesznie*): Wizyta kosztuje 10 zł, ale jak pacjent bez honoru, to się targuje i pan doktor opuszcza.

Masny: W targu honoru niema.

SCENA XI.

Ci sami i Wacław

Wacław (*wychodzi z gabinetu*): Przedziwny doktor!
Odrazu na wszystko pomoże! Jakbym się na świat
nanowo narodził!

Antoni (*do Leona*): Na pana kolejka. (*Leon wychodzi.*)

SCENA XII.

Ci sami bez Leona

Masny (*do Wacława*): A może to znachor?

Wacław: Nie, — cóż znowu?!

Masny: Ja się tam od znachora nie odrzekam...
Niejeden znachor lepiej leczy, od edukowanego na
uniwersytecie doktora.

Wacław: Jako człowiek inteligentny nie powinien
pan nawet tak mówić.

Masny: Opowiem panu! Chorowała mi moja ko-
bieta, nieboszczka żona. Teraz drugą pojąłem, ale
tamta długo chorowała. W doktora nie wierzy-
liśmy ani ona, ani ja. Poszliśmy do znachora, a on
powiada tak: Za poradę nic nie biore, dam tylko
ziela, zaparzycie i raz o północy wypić dacie i oka-
dzać codzień tem samem zielem o zachodzie słońca
i rosół zjeść z dwóch czarnych kur. Za to ziele,
aby dacie mi — powiada — 15 złotych i dwie li-
trówki wódki. Dałem, jak chciał, nawet, żem się
nie targował, ale nieboszczka po tygodniu zmarła.
(*Wchodzi Leon.*)

SCENA XIII.

Ci sami i Leon

Antoni: Na pana dobrodzieja kolejka. (*Masny wchodzi do gabinetu doktora. Wszyscy zrywają się z miejsc i tańczą ze sobą.*)

Masny (*wraca*): Zdawało mi się, że tu okulary zostawił. Co to? Czy to pan doktor, z przeproszeniem także leczy warjatów, bo pierwsze, jako żyję, widzę, żeby pacjenty wyskakiwały?

Antoni: Tacy radzi, że ich pan doktor wyleczył! (*Masny wychodzi.*)

Leon: Kuta bestja na cztery nogi.

Antoni: Cicho! Ktoś idzie! (*Dzwonek, Antoni otwiera. Wchodzi Goldberg. Wsuwa w rękę Antoniemu pieniądze.*)

SCENA XIV.

Ci sami — bez Masnego — i Goldberg

Antoni: Dziękuję panu, ja nie przyjmuję...

Goldberg: Czemu pan nie przyjmuje, panie lokaj?...

Antoni: Pan doktor mi płaci.

Goldberg: Panie lokaj! Ja tu panu dawałem trzydzieści groszy, ja jeszcze dodam do czterdzieści, ale mi pan powiedz, czy ten doktor polski, czy żydowski?

Antoni: Cóż za przypuszczenie? Przecież polskie nazwisko!

Goldberg: Czy to co mówi? Tyle żydków zmieniło, albo przetłomaczyło na polskie swoje nazwisko? Mógłby i pan doktor też.

Antoni: Proszę być spokojnym, pan doktor jest Polak, bez żadnej nawet najmniejszej hebrajskiej domieszki.

Goldberg: No, to przepraszam, panie lokaj, bo ja chodzę tylko do żydowskich doktorów. Przepraszam, bardzo przepraszam. (*Antoni zatrzymuje za nim drzwi.*)

SCENA XV.

Ci sami — bez Goldberga, — potem Masny i Stanisław

Leon: Baczność! Uwaga! Pacjent z gabinetu wychodzi!

Masny (*do Stanisława przy drzwiach*): Niech pan doktor opuści... rachowałem, że pan doktor darmo mnie przyjmie, ale jak już tak koniecznie, bo widzę tu kilku pacjentów, to dam dwa i pół złotego.

Stanisław: Zwykle biorę — hm, — dziesięć złotych.

Masny: Co tam, młody panie doktorze, starego wróbla na plewy nie złapiesz! Do trzech dołożę.

Leon: Ja płacę dziesięć.

Feliks: Ja piętnaście.

Masny (*ubiera się w palto i wyciąga rękę do Antoniego z datkiem*): Ja zapłaciłem trzy.

Antoni: Uprzejmie dziękuję, mnie pan doktor płaci, od pacjentów nie biorę.

Masny: To też dlatego, że mnie aż trzy złote zdarł, jak takiego hrabiego przy drzwiach trzyma, co to dziesiątki nawet przyjąć nie chce!

Antoni: Bardzo, bardzo dziękuję, doprawdy.
(*Masny wychodzi.*)

SCENA XVI.

Ci sami bez Masnego

Wszyscy (*zrywają się*): Dawaj, dawaj, Stachu! Znakomity początek!

Stanisław: Każdy z nas ma po pół złotego.

Antoni (z powagą): A pół złotego na żelazny kapitał, który zbieramy na komorne miesięczne.

Leon: Pocoś ty, Wacek, jeszcze dzisiaj taki dramat robił?

Stanisław: A artystka kinowa przyjdzie, czy nie przyjdzie?

Antoni: Nie ciesz się. Telefonowała, że nie. Nie chciałem mówić przy pacjencie — i tak się wsypałem, bo zanadto ją zapraszałem, aż się pacjent zdziwił. Dzwonek tsss! (Stanisław wychodzi.)

SCENA XVII.

Ci sami — bez Stanisława — i Kupisz

Kupisz: Pan doktor przyjmuje?

Antoni (na stronie): Cudowny dzień! (Głośno:) Owszem, przyjmuje. W tej chwili jest pacjent w gabinecie.

Kupisz: A dużo osób przede mną?

Antoni: Tych trzech panów.

Kupisz (do Wacława po cichu): Pan wierzy w tego doktora?

Wacław: Nie chodziłbym, gdybym nie wierzył. W żadnego doktora nie wierzę, ale w niego wierzę. A pan na co cierpi?

Kupisz: Na wątrobę.

Wacław: I mnie na wątrobę wyleczył.

Antoni: Pan dobrodziej pozwoli, pacjent już wyszedł drugimi drzwiami.

Kupisz: Ależ nie będę panów wyprzedzał! Panowie dawniej czekają. (Wacław wchodzi do gabinetu.)

SCENA XVIII.

Ci sami bez Wacława

Kupisz: Ja mogę poczekać; mam czas.

Antoni: Dobrze, że pan dobrodziej się nie spiera.
To taki wątrobnik! Na wątrobę się leczy. Już mu
o wiele lepiej.

Kupisz: O, to ja kilku pacjentów tu doktorowi
przyślę. Mam żonę, co jej wciąż mówię, że na wą-
trobę cierpi. Wiecznie zła i zdenerwowana... Ja po-
wiadam, że to z wątroby. Niestara jeszcze kobieta.

Antoni: To się znakomicie składa.

Kupisz: Co się znakomicie składa?

Leon: Niech pan na niego nie zwraca uwagi, on
bardzo często do siebie gada. Pan doktor także
jest psychjatrą...

Kupisz: To pan doktor także psy chowa i kuruje?

Leon: Nie, co znowu? Nieporozumienie! To znaczy,
że pan doktor na nerwy także leczy.

Kupisz: Moją gospodynią tu namówię, bo ciągle
lokatorom wymyśla.

*(Wacław wychodzi, Kupisz wchodzi do gabinetu chwila
ciszy.)*

SCENA XIX.

Ci sami — bez Kupisza — i Wacław

Leon: Nikt się jakoś nie zgłasza więcej... Już późno.

Antoni: Dziś już skończymy robienie gabinetu.
Początek niezły.

Leon: Niechby tak codzień złotego na głowę i od-
łożyć jeszcze na komorne. Ho! ho! czego to nie
można wspólnymi siłami dokonać!!! *(Kupisz wycho-
dzi z gabinetu ze Stanisławem.)* Nie mogę, doktorze,
nie mogę, najwyżej dwa i pół złotego! Najwyżej!
(Wychodzi.)

Wszyscy (śpiewają):
Choć burza buczy w koło nas
Do góry wznieśmy skroń!
Nie straszny dla nas burzy czas,
Bo silną przecie mamy dłoń.
Weselmy, bracia, się,
Choć wichur żagle rwie!

Kurtyna spada



Uwagi dotyczące wystawienia sztuki

1. Charakterystyka osób

Studenci: młodzi ludzie około 25—27 lat. Stanisław nieco powolny. Najweselszy Antoni. Reszta swobodna, ale bez szarży.

Pacjenci: typy charakterystyczne, komiczne.

2. Reżyserja

Grać w bardzo szybkim tempie.

3. Rekwizyty

Poza umeblowaniem pokoju niema specjalnych.

Teatr dla Młodzieży (Młodzi)

1. Alp: Pan Poparniecki
2. H. Houbert: Żelazna morderca
3. Alp: Jakub Anatol Pafnucy
4. Zbiór pantomim I.
5. Roman Relat: Narodzony płożni
6. Felicja Żurowska: Odegi
7. Alp: Trafid Marek na Maska
8. Zbiór pantomim II.
9. Zbigniew Topór: Zbiór monologów
Dwaj bracia
10. " "
11. Alp: Do większych ja rzeczy urodzony
12. Zbigniew Topór: Posadzony
13. Felicja Żurowska: Gościnny występ artysty
Lokatorzy
14. " "
15. Zbigniew Topór: Doróżkarz i inne monologi
16. Felicja Żurowska: Żołnierz
17. W. Szalay-Groele: Królewska korona
18. Helena Przyjemaska: Koledzy
19. X. P. Wieczorek: Polska już wolna
Kominiarz i piekarz
20. " "
21. Franciszek Biedroń: Bój o karczmę
22. Mieczysław Jabłoński: Wszystko przez frak
23. Andrzej Vico: Katastrofa przed ożenkiem
24. Maciej Szukiewicz: Kradzione nie tuczy
25. Ks. Paweł Wieczorek: Z nędzy do szczęścia
26. H. Antoine: Korsarz Bałtyku
27. Cz. Wolniewiczówna: Lipa św. Stanisława
28. Ks. Paweł Wieczorek: Wśród nocnej ciszy
29. Franciszek Biedroń: Figiel w pułapce
30. Władysław Junosza-Szaniawski: Portret
31. Eminus: O kupcu Złotolubie i o dobrym Znajdku
32. Marja Reuttówna: Oto dzień chwały
33. Henryk Ghéon: Trzy mądrości starego Wanga
34. Felicja Żurowska: Królewicz umiera
35. M. Sabatowicz: Anielska nowina
36. Groch z kapustą
37. Do góry nogami
38. F. Ż.: Idziemy z kołędą
39. W. B.: Cud nad Wisłą
40. M. Sabatowicz: Hej kołoda, kołoda!
41. Dynowska i Fischerówna: Wesola nowina
42. Gwido Trzywdar-Rakowski: „Ukrzyżuj go!”
43. Michał Sabatowicz: Zdobyłeś mnie sercem
44. Zofja Głosówna: Serca czarnych
45. Józef Nałecz: Komunista spadkobierca
46. Omaris: Za Boskiego Króla
47. Leonard Turkowski: Dookoła Polski
48. Zofja Topińska: Skończyłem medycynę